

Cmentarze pogranicza

Ciepły, choć wilgotny i mglisty poranek końca października ciszą rekompensował konieczność czekania w samochodzie. Zaparkowałem w rogu niewielkiego placu, pod sklepieniem zwieszonych, ospałych gałęzi drzew, rozpartych na przyciasnym dla nich skwerku. W mieście mgła nie jest tak namolna i natrętna, nie dominuje, nie przytłacza, nachalniej dopiero na peryferiach, na łąkach i w szarościach pól. Ale w każdym z tych miejsc dominuje nad dźwiękiem, hałasem, ujarzmia wszelkie odgłosy owija je w watę swoich smug, tak, że docierają do uszu pokorne i delikatne. Świat jest wtedy taki cichy i spokojny, jakby nagle się zatrzymał, wyłonił z codzienności i zamyślił nad sensem życia.

Jeden z liści, z prawie niesłyszalnym młaśnięciem opadł na szybę i przesłonił ciemne, skulone sylwetki ludzi sunących w stronę masywniejącego w oddali kościoła. Dlaczego poczułem się jak na cmentarzu?

W polskich realiach cisza mokrej jesieni, bicie kościelnych dzwonów i zbliżający się listopad nie może inaczej się kojarzyć. Mam wrażenie, jakby w tym czasie, gdzieś w naszych wnętrzach budził się specyficzny gen, niezmywalny stygmat charakteru. Gen, na swój sposób szlachetny, choć w setkach mutacji tak łatwo ulegający wpływom płytkiej, nachalnej komercji, czy niezdrowej rywalizacji.

Liść, zgaszone złoto, spłynął po szybie wraz ze łzami skroplonej mgły. A mimo to miał szczęście - został zauważony. Za rok wciąż będzie istniał gdzieś w moim archiwum, gdy o tysiącach innych nikt już nie wspomni. Na dziś, na teraz zapamiętałem go... jeszcze... Podobnie wiele twarzy, odchodzących w wieczność. Uprzytomniłem sobie jak szybko z roku na rok stają się zatarte i mniej wyraźne, odległe, bezszeptnie odpływające w głąb studni czasu, gdzie z każdym betonowym kręgiem mniej dociera światła.

Umierają po raz drugi?

Siedząc w samochodzie wspomniałem lipcowy wyjazd na chełmowszczyznę. Od mieszkańców małej wsi polsko – ukraińskiego pogranicza dowiedziałem się o starym, sięgającym dziewiętnastego wieku, opuszczonym cmentarzu, którego pozostałości wciąż można było odnaleźć w lesie za niegdysiejszym wygonem. Wejście dawno zarosło przydrożnymi krzakami. Przebiłem się przez nie i stanąłem przed porośniętymi kozuchem bluszczy garbami mogił, z rzadka już zwieńczonych śpiącymi resztkami ocalałych nagrobków. Wśród nich, wciśnięty między drzewa, wciąż na stanowisku, trwał nieznacznie pochylony prawosławny krzyż. Późnopołudniowe słońce bezlitośnie obnażało wpływ czasu, wyrżnięty deszczem i mrozem w poszarzałym drewnie słupa i poprzecznych ramion, w rdzy hufnali, w odłupanym fragmencie ukośnej belki... tym wskazującym na piekło.

Widziałem kilka starych cmentarzy, ale ten umierał w prawdziwej samotności.

Pomiędzy próchniejącymi krzyżami wydeptywałem pierwszą od lat ścieżkę i dotykałem murszejących kamiennych pomników o czołach rytych cyrylicą. Pozostały jedynie przytarte imiona i nazwiska, wciśnięte w nawiasy dat narodzin i śmierci, tylko tyle... a może aż tyle? W końcu ocalały, przetrwały na przekór wszystkiemu i trwają, choć prawie bez nadziei, że ktokolwiek z bliskich tu dotrze.

Zdziwiłem się jednak kilka metrów dalej. Na czterech mogiłach, ledwie kopczykach pokrytych mchem, w

przesianych przez gałęzie promieniach słońca błysnęły czerwienią wypalone znicze. Wyblakłe, wrosnięte w warstwę liści szkło wskazywało, że choć leżały tu już parę lat, to i tak były dowodem, że dotarł tu ktoś, kto żył w naszych realiach, szukał swoich korzeni... I znalazł... A może wypalone znicze to ślad wizyty starego człowieka, który pragnął przed śmiercią raz jeszcze ujrzeć miejsce pochówku przodków? Kim był, byli? Tego już się nie dowiemy, los oskalpował te groby z pomników, krzyży, napisów...

Za ścianą przydrożnych krzewów wolno przejechał traktor, ciągnąc podskakującą na wybojach pustą przyczepę. Taak... Kołowrót życia i śmierci toczył się niewzruszony. Podniosłem głowę i zobaczyłem przed sobą prosty krzyż. Powalony przez czas leżał wsparty na jednym z krótszych ramion, drugie w niemym proteście wbijał w niebo. Przypominał ciężko ranionego człowieka, który resztką sił próbuje zaczerpnąć haust powietrza, ale nie pozwalają na to przestrzelone płuca. Czyżby znajdowały się tu również inne niż prawosławne mogiły? Być może potwierdza to kilka małych krzyży, wyrastających nieopodal wprost z leśnego runa, jak nieme morskie latarnie, wskazujące bezimienne dziś miejsca pochówku.

Przygraniczne cmentarze. Wiele z nich czas i polityka wymazały z oblicza ziem. Dziś ocalałe na obszarach odzyskanych nie stanowią już tak głębokiego źródła niepewności i obaw – nikt już macewami nie brukuje ulic. A te za Bugiem? Przemiany polityczne sprawiły, że wspomnienia uzupełniamy, choć w skromnym zakresie, możliwością ratowania naszych nekropoli.

Ale niezależnie gdzie są usytuowane, cmentarze pozostaną dostępnym, wymownym świadectwem współistnienia człowieka obok człowieka. Pozostaną miejscem powrotów i poszukiwań tożsamości, własnej historii i dzieciństwa, bez względu na to, czy nagrobki pokrywa cyrylica, gotyk, jidysz, czy polski. „Przeszłość sama odchodzi, nie trzeba jej niszczyć. Sama potrafi także wrócić”¹.

Przez szybę samochodu zobaczyłem wylaniającą się z mgły znajomą sylwetkę. Odpaliłem silnik. Czas wracać do życia.

¹Hanna Kowalewska; „Tego lata, w Zawrociu”

Dariusz Szuirad Zajączkowski

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Szuirad, dodano 24.10.2014 05:09

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.